



WIADOMOSCI LITERACKIE

Cena 80 groszy

T Y G O D N I K

Nr. 37 (193)

Warszawa, Niedziela 11 września 1927 r.

Oddział

„Wiadomości Literackie”

w Paryżu, 123, boul St.
Germain, Księgarnia
Gebethnera i WolffaCena numeru w Paryżu
zł. 1.—

Rok IV

SERGIUSZ KUŁAKOWSKI

Aleksander Błok a Polska

Sześć lat upływa od chwili zgonu Aleksandra Błoka. Specjalnie w tym celu utworzona w Moskwie komisja zebrała niemało materiału, dotyczącego poety, dokładnie oświetlone zostały poszczególne okresy jego twórczości i życia, wydano szereg nieznanych jego wierszy, listów oraz artykułów. To zainteresowanie osobą i twórczością Błoka tłumaczy się okolicznościami, że bilans twórczości tej jest jednocześnie jakby bilansem całego okresu poezji rosyjskiej, okresu po-sołowskiego lub „błokowskiego”, obejmującego lata 1900—1920.

Liryczną twórczość Błoka znamy przede wszystkim z trzech tomów wierszy, wydanych w roku 1912 i następnie przedrukowanych z niektórymi uzupełnieniami. Ponadto w r. 1918 ukazały się niespodziewanie jego poematy „Dwunastu” („Dwie-nadca” i „Scytowie” („Skify”), ściśle związane z ideologią Błoka, wyrażoną w jego artykułach, drukowanych od roku 1908. Komentatorzy, szukający najprostszej interpretacji tych utworów, tłumaczyli ich powstanie momentami natury politycznej. W rzeczywistości natomiast „Dwunastu” wyrósł na gruncie ideologii poety, skryształizowanej już w latach 1906—1907 przy udziale pewnych wpływów słowianofilskich, w swoisty sposób zdeformowanych. Chrystus, zjawiający się w końcowym ustępie „Dwunastu”, mimo całej swej zagadkowości, przypomina Chrystusa w zakończeniu „Nieboskiej Ko-

biografowie będą musieli się poważnie zastanowić. Odpowiednikiem tego stosunku syna do ojca był w ideologii Błoka stosunek Petersburga do Warszawy, Rosji do Polski.

Błok ojciec, profesor prawa państwowego, był głębokim myślicielem — słownikiem typu Konstantego Leontiewa. (Znakomite dzieło tego ostatniego p. t. „Wschód, Rosja a Słowiaństwo” zawiera sformułowanie historycznej misji Rosji na Wschodzie wogóle, a w Europie wschodniej, czyli pośród narodów słowiańskich, w szczególności). Jako literat, odznaczał się Błok-ojciec lakonizmem, niemal formułkowością stylu. Miał wybitne zdolności do muzyki, bez której nie mógł sobie wyobrazić życia, (urok muzyki ciąży też, jak wiadomo, na całej twórczości jego syna), a w słowach kochał przede wszystkim materiał dźwiękowy, i rozumiał je nie jako stylistę, lecz raczej jako znawcę kontrpunktu. Poezję kochał, jako muzykę, i nie powinno nas dziwić, że ulubionymi jego książkami były Gustawa Flauberta „Education sentimentale” i „Madame Bovary”, arcydzieła stylu związanego a pełnego harmonii. Na pamięć recytował mnóstwo wierszy, a o poezji syna wyrażał się pogardliwie. W twórczości tej nie mógł dojrzeć cech po sobie odziedziczonych — jako człowiek mocny, był do takiego poznania psychicznie niezdolny. Młody petersburski uczeń-filozof, bywalec liberalnych salonów (zwłaszcza sławnej bojowniczkii emancypacji kobiecy „Anny Pawłowny Filosofowej”) z biegiem lat przekształcał się w zdziwaczałego samotnika, skąpca psychopatę, zaplątanego w poglądy słowianofilskich. Ożenił się po raz drugi, lecz i tu nie zaznał szczęścia. Córka Angelina wywarła pewien wpływ na jedno z przesileni duchowych brata, który się z nią zapoznał na pogrzebie ojca zmarłego 1. XII. 1909. Tej zimy Błok pracował nad najwybitniejszym ze swych zbiorów wierszy, zatytułowanym „Godziny nocne”, zamykającym cały okres jego życia i twórczości. Telegraficznie wezwany do Warszawy, poeta nie zastał już ojca przy życiu. W drodze na cmentarz Wolski wspomina Błok jadącemu z nim przyjacielowi ojca, prof. Eugeniuszowi Spetrowskiemu o zamierzonym poemacie, w którym osoba ojca zająć ma główne miejsce. Istotnie, fragmenty poematu zostały niebawem napisane i wydrukowane w roku 1914. Poemat miał tytuł „Zapłata”, a w pracy nad nim nie ustawał poeta do ostatnich miesięcy życia. Już w roku 1919, przezwijając, iż poematu nigdy nie skończy, napisał Błok do niego przedmowę, zawierającą plan utworu i sformułowanie jego podstaw ideologicznych. Oto jego własne słowa: „Temat polega na zobrażowaniu poszczególnych ogniw rozwoju jednego rodu. Jego latorośle rozwijają się aż do wyznaczonego kresu, a potem pochłania je otaczający wszechświat. Jednakże z każdej takiej latorośli, kosztem niepowetowanych strat i upadków, tragedii i niepowodzeń

życiowych, wyrasta coraz to coś nowego, coś silniejszego.

„Akcja pierwszego rozdziału toczy się w ósmym dziesięcioleciu minionego stulecia, na tle wojny rosyjsko-tureckiej i ruchu „narodowolców”. W wykształconej ro-

grzechu i namiętności zapłodnił pełną ci-

„W rozdziale trzecim opisany jest koniec życia ojca. Opowiedziane jest, co się stało ze wspaniałym „demonem”, jak runął w otchłań ten człowiek niegdyś ol-

su rozwój i wędrówka życiowa syna, ustępującego miejsca swej własnej latorośli, trzeciemu ogniwu tegoż rodu o potężnych wznosach i wielkich upadkach.

„W epilogu ma być przedstawione niemowlę, kołysane na łonie prostej matki, zgubionej gdzieś wśród szerokich polskich łąk koniczyn, nikomu nieznaney i o niczem niewiedzącej...”

Ta przydługa cytata z przedmowy lepsze daje wyobrażenie o poemacie, aniżeli jego streszczenie. A oto zakończenie tejże przedmowy:

„Przez cały poemat powinien się snuć określony leitmotiv „zapłaty”, to jest leitmotiv mazura, który na skrzydłach swych unosił Marynę, marzącą o tronie rosyjskim, Kościuszkę z podniesioną ku niebiosom prawicą i Mickiewicza na balach rosyjskich i paryskich. W pierwszym rozdziale tony mazura słysząc z okna jakiegoś mieszkania w Petersburgu — są to głuche czasy „lat siedemdziesiątych” wieku XIX; w drugim rozdziale mazur grzmi na balu, zmieszany z dźwiękiem ostróg oficerskich, niczem pieniający się szampa „fin de siècle” sławnej Veuve Cliquot — to jeszcze głuchsze lata cygańskie, apuchtinowskie”. W trzecim rozdziale mazur szaleje w zamieci śnieżnej „unoszącej się nad nocną Warszawą, nad spowitemi śniegiem polskimi polami koniczyn. W jego tonach wyraźnie słysząc głos zapłaty”.

Ten temat „zapłaty” staje się paletyżny, kiedy poeta zwraca się do Rosjan, rządzących Polską:

„Nie tak że i i ciebia, Warszawa,
Stolica górych Poliaków,
Driemal prunidia orawa
Wojennych russkich poszliaków?”

A wspominając sobor na placu Saskim, poeta nadmienia w nawiasach:

„Kakoj to oczeń ważnyj wor
Jewo, postroił, nie dostroił...”

A oto nowy polski Jeździec Miedziany, Pan Mróz:

„Briacajet szporoju krowawoj...
Miest! Miest! — Tak echo nad Warszawoj
Zwienit w chołodnom czugunie...”

W budowie poematu, pisanego wierszem jambicznym czterostopowym, daje się wyraźnie odczuć wpływ Puszkina, niekiedy opisy wręcz przypominają „Jeźdźca Miedzianego”. Szczególnie dotyczy to opisów Petersburga. A poeta, którego na ulicach Warszawy prześladowa Pan Mróz, przypomina Eugeniusza uciekającego przed Jeźdźcem Miedzianym.

Obraz Warszawy i Polski był z początku najwidoczniej ściśle związany z postacią ojca, którą młody poeta wyobrażał

„Błok ma tu na myśli znanego i uwielbianego w swoim czasie poetę lirycznego Aleksandra Apuchina (1871—1891), którego twórczość była oparta na tematach z romansów cygańskich.

sobie w barwach bardzo ponurych. Świadczą o tem wiersze, które pierwotnie były przeznaczane do „Zapłaty”, a następnie umieszczone zostały w zbiorze p. t. „Jam-by”. Są one poświęcone siostrze Angelinie, która, jak Beatrice, była przewodniczką rozdwojonego duchowo poety w ponure dnie warszawskie roku 1909:

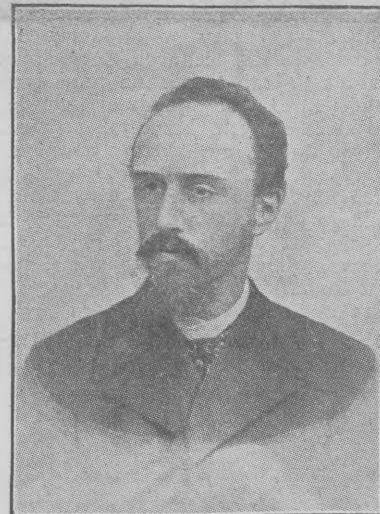
„Kogda my wstrietiliś z tobaj,
Ja był bolnoj, s duszoju rzawoj.
Siestra, sużionnaja sudboj,
Wieś mir kazalsia mnie Warszawoj...”

I dalej:

„Kogda b iz pamiaty mojej
Ja wyczerknuł imiel by prawo
Syroj priton toski twojej
I skuki, mracznaja Warszawaj!

„Lisz ty, siestra, twierdzą mnie
Swojej wołnujuszczej triewgoj
O tom, chto mir — żiliszczu Boga,
O chołodie i ob ognie”.

Lecz w toku pracy nad poematem stosunek Błoka do Polski zmienił się zupełnie. W opisie Warszawy w noc zimową (z tak charakterystycznym dla poety tematem zamieci, wywodzącym się być może od Puszkina przez poezję Wł. Sołowjowa) mamy do czynienia już nie z przeżyciami roku 1909, lecz z nastrojami pierwszymi lat wojny. Błok wyraźnie podkreśla rolę mesjanistyczną Polski w historii Europy.



OJCIEC BŁOKA

Zamieć nad ogrodem Saskim. To Pan Mróz, dzwoniąc ostrogami, puścił się w tany i leci nad pola koniczyn, gdzie śniegi pokryły ślady krwi.

Błok, który był uczestnikiem Wielkiej Wojny, a następnie członkiem Najwyższej Komisji Śledczej przy Rządzie Tymczasowym w roku 1917, biał czynny udział we współczesnych mu wypadkach dziejowych. Trzymając się zdalek od polityki, już w roku 1908 przepowiedział w swych utworach mające nastąpić wstrząśnienia światowe.

W poemacie „Zapłata” porusza poeta kwestię dziedziczności i doboru naturalnego, ubiera w szaty poezji ideę zapłaty za zbrodnie przeszłości w imię potężnej przyszłości. Niema tu przeciwstawienia Rosji i Polski, jako narodów sobie wrogich, niema idei walki między Wschodem a Zachodem. Myślą przewodnią poematu jest, iż powinna nastąpić godzina zapłaty dla Polski, gnębionej przez historię. Zasadnicze porównanie ojca „demon” i matki „ofiary” z sepeem i gołębicą jest jednocześnie symbolem Polski, szarpanej przez Rosję.

Ten apolityczny stosunek do umiowanego kraju, w którego stolicy żył i umarł czarny „demon” — ojciec, staje się szczególnie godnym zastanowienia, jeśli zważymy, że dla Błoka Warszawa była miastem „ponurem”, że Wisła wydaje mu się „czarną” a kraj cały „fatalnym”. Przyjechał do Polski w chwili przełomu duchowego, spędził tu najczarniejsze dnie. A mimo to uczucie podkładało Błokowi zupełnie inne nastroje. Temat „zapłaty” w poemacie tym nabiera wyrazu szczególnie tragicznego, gdy poeta, nie będąc zresztą politykiem, dotyka smutnej kwestii stosunków polsko-rosyjskich.

Nastroje te są godne uwagi, chociażby dlatego, że powstały w duszy najwybitniejszego rosyjskiego liryka wieku XX, poety najszerzego i najspokojniejszego z drugiego pokolenia symbolistów rosyjskich.

Tłumaczył W. Jakubowski.



ALEKSANDER BŁOK w r. 1908

mediji” Krasinśkiego (przekład rosyjski A. Kursinśkiego ukazał się w 1904 r. w moskiewskim wydawnictwie symbolicznym „Skorpjon” i został zresztą niebawem skonfiskowany). „Scytowie” zaś, związany z kwestiami panmongolizmu, poruszonemu przez Włodzimierza Sołowjowa i z sui generis słowianofilstwem Konstantego Leontiewa, bynajmniej nie wywodzi się od oślawionego wiersza Puszkina p. t. „Oszczercem Rosji”. Przedewszystkiem pamiętać należy, że w „Scytach” poeta bynajmniej nie miał na myśli Polski, do której stosunek jego był daleko bardziej skomplikowany, jak to poniżej wykazuje. Idea przeciwstawienia dwóch światów, Europy i Azji, jest tu ujęta w sposób daleko szerszy i pozostaje również w ścisłym związku z dawniejszymi cyklami wierszy Błoka z lat 1906—1908 („Ojczyzna” oraz liryka o wyjątkowej sile poetyckiej „Na polu Kulikowem”).

Niema w Błoku nic z bolszewika ani z komunisty, ani nawet z „eurazjaty”. Jest on poeta, o którym niegdyś Puszkina powiedział: „Dorogoju swobodnoj idi, kuda wleczot tiebia swobodnyj um”.

W samodzielnym sposobie kształtował się stosunek Błoka do Polski, z którą poetę łączyły więzy nierozdzielne, mimo iż stale zamieszkiwał w Petersburgu lub w małym miasteczku — Szachmatowie. Był to jakby związek krwi, niejasny lecz głęboki, jak tyle innych przeżyć duchowych Błoka. Szczerze a szczegółowo opowiedział nam poeta historię tego stosunku. Jego ojciec, Aleksander Lwowicz Błok, był profesorem uniwersytetu warszawskiego. Co prawda, matka poety, z domu Bieketowa, córka rektora uniwersytetu petersburskiego, wkrótce po ślubie opuściła dom męża i zamieszkała z synem na stałe w Petersburgu. Jednakże młody Błok, chociaż rzadko widywał ojca w Petersburgu, zachował z nim jakąś tajemniczą łączność duchową. I o nieokreślone poczucie odpowiedzialności, dziedziczącej krwi, było niewątpliwie ważnym czynnikiem w rozwoju duchowym Błoka, nad którym przyszli jego



ALEKSANDER BŁOK

dzinie o przekonaniach liberalnych pojawia się jakiś „demon”, zwiastun „indywidualizmu”, człowiek podobny do Byrona: trawi go ogień nieziemskich pragnień i pożądań, stepionych cprawda, chorobą zaczynającą się „fin de siècle”.

„Drugi rozdział, z którego napisany został tylko wstęp, ma się rozgrywać w końcu XIX i na początku XX stulecia. Główną osobą ma tu być syn „demon”, spadkobierca jego buntowniczych wznosów i chorobliwych upadków, uosobienie bezczuciowości wieku XX. Lecz i on jest tylko jednym z ogniw nieskończonego łańcucha. Nic po nim nie zostanie, prócz iskry, prócz nasienia, którem w noc

śniewający”). Akcja toczy się już nie w stolicy Rosji, jak w rozdziałach poprzednich, lecz w Warszawie, która się początkowo wydaje „podwórką Rosji” a potem ma prawdopodobnie odegrać rolę mesjanistyczną, związaną z losem przez Boga zapomnianej i na strąpy poszarpanej Polski. Tu, nad świeżym grobem dobiega kre-

*) Obraz demona, który runął w przepaść, przypomina nie tylko znany poemat Michała Lermontowa, lecz i niemniej znany obraz malarza Michała Wróbla, owego „demon” impresjonizmu rosyjskiego. Błok uwielbiał obydwu, pisał o nich i był duchowo związany z ich twórczością.

LUCJAN SZENWALD

Pieśń o powodzi

Po szerokiej Ameryce tętnią i dudnią
rozchłapane popławy jezior, bagien i rzek.
Akordami C-moll grzmi rozlewne preludjum,
burza wyje śpiew piany, bije bulgot i brzęk.

Idą fal zbuntowanych zwycięskie pochody,
szmaragdowym sztaandarem zamiatają piach z dna!
Wyrzucone w grzmot salw, chluną w lej płaty wody,
ostrzy wiatr dymy piany, jako salw dymy, gna!

Czarny bunt białe fale przed gniew swój zapozwał,
czarny łowca rzemienie ściągnął w żył sinych kłęb
i ze smyczy, jak psy, spuścił wściekły wodował,
na sto pięter obłędnych, tysiąc tęcz, milion trąb!

Przez przepaście gna ucwał stado panter i Niagar,
kiedy skok — złomy arkad, kiedy rozpęd — to pion.
Drżące Andy za czub chwyta srebrny huragan,
że pękają kamiennie, jak topiący się dzwon.

Z fundamentem rwie dom i kołysze nam otchłań,
płyną miasta żelazne, z hukiem wał się w wir,
ludzi lek wabi w loch, chłonie toń wracym kotłem,
młyny ramion drą kołbań, sine zęby żrą żwir.

Któraś pierwsza o dno wiotkie ciało otarła
i rzuciła na naprzód wихrem szumów i bryzg,
muskularna jak koń, ciemna fala Ontario,
(grzywa, kark, pierś, kopyta, — ogień, orkan i błysk!)

jeśli tabun twych siostr w zawierusze kawalkad
dumne fabryki pognie, domy tumy, tor mur,
jeśliś groźna, jak tur, i nie fala lecz walka,
włącz mnie, włącz, o zawrotna, w twój kołowrót i chór!

Ścisnę kark twój okrakiem i z pieśnią na wargach
chżył lot twój rozognię bosą muzyką pięt.
Trałuj, targaj i niszcz, a gdy zniszczysz i stargasz
piramidę rozlewną nad Ameryką spiętrzą!

Zakołuje nad łądem, jak wiatr, błędny wampir,
zawiruje błonami, zaszeleści jak cień,
potem spadnie, jak glaz, i we mgle wodnych tanar
zadmie krwią w trombon z brązu, który pęknie od brzmień.

Wtedy groźne szaleństwem, jak tłum korybantek,
buchną fale na przestrzeń, parte pulsem stu serc:
wstanie siwy Pacyfik i siny Atlanty, będzie woda i niebo, będzie cisza i śmierć.

MALARZ DEKADENCJI

HENRI DE TOULOUSE-LAUTREC

Stary i świetny ród Lautreców, niegdyś panujących hrabiów Tuluz, ku końcowi wieku XIX zdradzać zaczynał pewne objawy degeneracji. Przejawiały się one narażone doświadczenia, przybierając pozory nieco przesadnej oryginalności. Trudno w każdym razie nazwać inaczej sposób życia hr. Alfonsa de Toulouse-Lautrec-Monfa, naówczas głowy tego domu, który lubił np. zjawiać się na prosczone obiady w stroju, przypominającym narodowy kostium szkocki, z tą tylko odmianą, że krótka spódniczka w kraty zastąpiona była przez tiulową sukienkę baletnicę.

Do ulubionych dowcipów arystokratycznego ekscentryka, podczas jego pobytu w Paryżu, należały również przejażdżki po Łasku Bułońskim na dojeżdżalnicę tatarskiej, stylowo osiodłanej. Co pewien czas oryginalny jeździec zsiadał ze swej klaczy, dołł ją i na miejscu konsumował produkty swego udoju.

Degeneracja, której niewątpliwe ślady dostrzegamy w charakterze i sposobie życia hr. Alfonsa, przejawia się w sposób mniej może efektowny, ale niemniej widoczny, u pierwotnego jego syna; przejawia się zaś tym razem nie tylko w duchowości, ale i w ukształtowaniu cieleśnym, Henri de Toulouse-Lautrec, rysow-

noćny i zasypiający o świcie, Montmartre kabaretów, café-chantant'ów i domów publicznych, ze swym Moulin Rouge'em, Chat Noir'em i Rat mort'em. Tam to właśnie koncentrowała się cała zgnilizna owej opoki, niedościgną w swym cynizmie, z duszą wystawiającą na pokaz



HENRI DE TOULOUSE-LAUTREC
Akwafora Karola Maurin

stygmaty cielesnego rozkładu i duchowych perwersyj; tam wykonywały chłubnie swe rzemiosło la Goulue, la Grille d'Egout, la Demi-Syphon, tam na pokaz wystawiali swe triumfy ich przyjaciele od serca; tam popisywał się bezprzykładną gietkością swych członków międzynarodowy szampion kankana, Valentin le Déroissé. A duchowa arystokracja epoki rozkoszowała się tą atmosferą fizycznego i moralnego rozkładu, jak smakami odleżałego roquefortu, lub wonią skruszałej zwierzyny.

Lautrec już w pierwszych latach swej działalności znajduje się między najzagorzalszymi zwolennikami i najprzebieższymi znawcami owych frykaszów, silnie zalutujących zgnilizną. Początkowo dzieli on jeszcze czas pomiędzy dzienne akademickie studia u Cormona, a nocne sesanse w mniej, lub bardziej tolerancyjnych instytucjach Montmartre'u. Z biegiem czasu pilność jego ześrodkowuje się coraz wyłącznie na tych nocnych studiach, obficie zraszanych alkoholem. Dochodzi do tego, że podczas jednej ze swych podróży ekscentryczny syn hrabiego Alfonsa de Toulouse-Lautrec-Monfa zamiast do hotelu, zajeżdża z bagażami i walizami wprost do domu publicznego, twierdząc, że w ten sposób jego sprawy życiowe ulegają znacznemu uproszczeniu.

Łatwo się domyśleć, że podobny tryb życia, połączony z olbrzymią pracą, podobne wydławianie energii nerwowej, podtrzymywanej potężnymi dozami alkoholu, przekraczało znacznie wale siły genialnego kaleki. W roku 1899 następuje atak choroby nerwowej, mającej właściwie wszelkie cechy obłędu. Na ten raz staranna kuracja w zakładzie leczniczym wywiera skutek. W r. 1901 przychodzi nowy atak choroby, tym razem połączony z paraliżem i — śmiertelny.

Takie było życie jednego z najciekawszych przedstawicieli „dekadentyzmu”, człowieka, który całą osobliwość swej degeneracji, a jednocześnie bardzo głębokiej psychiki bez reszty wypowiedział w sztuce. Wypowiedział w niej przede wszystkim swój osobliwy erotyzm, w którym zdecydowany pociąg do kobiet upadłych przedziwnie łączy się ze szczerą współczującą sympatią dla tych męczennic Erosa.

Jako odtwórca owego odrębnego świata, niezastępowanego nawet na nazwę pół-

za sierć czystego malarstwa, w której przebywa Degas, podobnie, jak wszyscy inni twórcy impresjonizmu. Tak więc dla Degasa balet, lub café-concert jest niewyczerpaną skarbnicą nieznanych przedtem w sztuce układów perspektywicznych, niezwykłych efektów sztucznego oświetlenia, nadzwyczajnych skrótów rysunkowych. Dziwna, groteskowa duchowość tego świata, którego był odkrywca, ujawnia się poniekąd przypadkowo, jedynie dzięki niewiarogodnej ściśłości, z jaką odtworzony jest najnieuchwytniejszy gest, najdrobniejszy grymas modelu. To, co dla wielkiego impresjonisty jest dodatkowym szczegółem: ekspersja, pogłębienie psychologiczne i uczuciowe, cała wogóle literacka strona tematu — staje się dla jego następcy zagadnieniem zasadniczym. W tym swoim stosunku do sztuki jest Lautrec typowym przedstawicielem przejścia od rzeczowego impresjonizmu do epoki neo-romantycznej, rozmiłowanej w efektach literackich i wyrazie. Wraz z Van Goghem i Munchem należy on do najwybitniejszych prekursorów tak zwanego dziś ekspresjonizmu, którego źródła szukać należy w owej własnej epoce, na przełomie wieku XIX i XX.

Twórczość Lautreca stanowi przejście



TOULOUSE-LAUTREC:
Portret

od impresjonizmu do epoki następnej nie tylko pod względem uczuciowo-literackim, ale również i pod względem formalnym. Już Degas sprzeniewierza się do pewnego stopnia doktrynie impresjonistycznej, chętnie posługując się linią, która przez impresjonistów wykluczona była ze sztuki, jako abstrakcja i rzecz optycznie nieistniejąca. Tę degasowską, błyskawicznie nerwową i precyzyjną linię doprowadza Lautrec do ostatnich granic wyrafinowania, do jakiejś okrutnej, gryzącej dokładności, czyniąc z niej główny swój środek artystyczny. Linia ta wykracza przeto dosyć często poza granice rysunkowej rzeczywistości, stając się dekoracyjnym konturem, tak miłym neo-romantyzmowi okresowi „secesyj”.

Tak samo luźny jest związek, łączący Lautreca, jako kolorystę, z doktryną impresjonistyczną. W obrazach swoich posługuje się jeszcze artysta metodą dywi-



TOULOUSE-LAUTREC:
Kłownka na balu

zjonistyczną, którą stosuje zresztą w sposób najzupełniej swobodny, widząc w niej raczej pewien sposób techniczny, niż zastosowanie nowych odkryć z dziedziny optyki. Technika dywizjonistyczna znika jednak całkowicie tam, gdzie artysta posługuje się litografią, której jest pierwszym mistrzem. Używa on tu szerokiej i jednostajnej, dekoracyjnej i z japońską pojętych płam barwnych, stanowiących znamię okresu „secesyj”; używa ich zaś w sposób, dający raczej wyzyna syntezę rzeczywistości, niż ściśle jej realistyczne odwzorowanie. Jego niewiarogodne, gryząco-żółte płamy utlenione włosów, lub niesamowite, różowo-fioletowe tony skóry, pokryte szminką, są w swej karykaturalności kolorystycznie równie ekspresyjne, jak ekspresyjny jest wizjonerski rysunek tych litografii, bardzo już daleki od naturalistycznej rzeczywistości. Litografie te, stanowiące najoryginalniejszą część spadku artystycznego, pozostawionego przez Lautreca, są pod względem ujęcia zewnętrzno-równie charakterystyczne dla swej epoki, jak charakterystycznym jest ich temat i ich ujęcie uczuciowe. Tutaj to osiąga Lautrec istotną harmonię treści i formy, obok Van Gogha stając w pierwszym szeregu ówczesnych mistrzów syntezy i ekspresji.

Wacław HusarSKI.

Na granicy wielkiego reportażu i literatury

BRACIA THARAUD

Nawet w tak bogatym zespole współczesnych talentów pisarskich Francji, zwracając pośród nich uwagę odrębnością swojej fizjonomii autorskiej bracia Jérôme i Jean Tharaud.

Współpraca ich jest tak ściśła, że zawsze mówią o sobie w swoich utworach: „je”, a często nawet artykuły ich i listy noszą podpis: J. Tharaud, jak gdyby identyczne inicjały przybranych imion (prawdziwimi są: Ernest i Charles) miały symbolizować ich jedność autorską i strzec zazdrośnie tajemnicy podziału pracy między dwu ludzi, stanowiących jednego pisarza.

Pociąg do wspólnej pracy literackiej ujawnił się u braci Tharaud jeszcze na ławie szkolnej, kiedy, jako chłopcy kilkunastoletni, prowadzili oni dziennik, noszący charakterystyczny tytuł: „Dwa gołabki”.

Wyjazd do Paryża starszego brata, Ernesta-Jérôme'a, zrywa na czas pewien ściśle współzycie braterskie. Przychodzi długi okres studiów, podczas których Jérôme-Ernest i Jean-Charles łączą się po kilku latach w Paryżu; każdy z nich jednak przygotowuje się do innej kariery życiowej.

Po wyjściu z paryskiej Ecole Normale Supérieure, Jérôme idzie do Budapesztu w charakterze lektora języka francuskiego i literatury w kolegium imienia Ertrosa i pracuje tam przez cztery lata. Podczas wakacji młody lektor odbywa razem z bratem, studiującym prawo i finanse, wycieczki do Galicji, Rumunii, Serbii i Bułgarii, a w ostatnim roku pobytu na Węgrzech zwiedza z jednym z przyjaciół Turcję i Grecję.

Z tego właśnie okresu datuje się zainteresowanie braci Tharaud Żydami, ich mesjanizmem, ich pasją rewolucyjną. Zaciebie to wielostronne, bo i historyczne, i psychologiczne, i malarskie, stało się źródłem kilku powieści („L'An prochain à Jérusalem”, „L'Ombre de la Croix”, „Quand Israël est roi”, „Un Royaume de Dieu”, „La Rose de Saron”).

Bohaterami tych powieści są Żydzi ze środowiska ortodoksyjnego, z gmin żydowskich Węgier, Polski, Rosji, — ciemni, fanatyczni, wrodoży temu, co ich otacza, „lud oszustów i oszukiwanych”, zwrócony myślą i sercem ku Wschodowi, ku krajom dawnej swojej świętości, żyjący marzeniami o przyszłej potędze Izraela.

Bracia Tharaud traktują Żydów w sposób jednakowo daleki od judofilstwa i od antysemityzmu, z zaciekawieniem pełnym chęci zrozumienia. Jednostki z ghetta,

z którymi się zetknęli, a które stały się prototypami ich bohaterów, bywają dla nich często „tak niezrozumiałe i fantastyczne, jak osobistości z powieści Hoffmanna”.

Rok 1906 zbliża braci Tharaud z Maurycym Barrès'em, który proponuje im stanowisko swoich sekretarzy. Siedmioletnie stałe obcowanie z wielkim pisarzem ula-



JEAN I JÉRÔME THARAUD

twia im głębsze poznanie rzemiosła literackiego i nabycie subtelniejszego poczucia językowego.

Po trzech latach wojny, spędzonych w okopach na froncie północnym, wyjeżdżają do Afryki, z której obrazy i wrażenia stanowią treść kilkunastu niezwykle barwnych opowiadań i opisów podróży („La Fête arabe”, „Rabat ou les Heures marocaines”, „Marrakech ou les Seigneurs de l'Atlas” i inne).

Oryginalne cechy braci Tharaud to ostry obraz wizji, przezuwina prostota stylu i zwarty stosunek artystyczny do przeżywanego rzeczywistości.

Oto jak, na przykład, wygląda opis wieczoru na puszczy węgierskiej:

„O zmierzchu psy rozpoczynają swoje harce; jeżdżący w białych płótniankach, siedzący oklep na koniach, zataczali galopem kręgi w pogoni za zwierzętami, które oddalały się od stada. Między niebo a ziemię wkładało się widmo lotu jakiegoś zapóźnionego bociana, a tysiące dziękich ptaćwa czyniły wielką wrzawę nad taflami wód zamaryłych, w których dośpasyły ostatnie brzojskie dnia”.

Ten styl nadzwyczaj prosty, jakby „przefiltrowany”, całkowicie pozbawiony epitetów, jest wrazeniem pisarskiego credo braci Tharaud: szlachetna nagość, której piękno polega wyłącznie na zgodności z rzeczywistością, z temi szczegółami rzeczywistości, które zwyczajnie przesyła próbę czasu, gdyż: „jedynymi chwilami, jakie przeżyjemy naprawdę, będą te, których wspomnienie — bez notatek, bez papieru — serce nasze zachowa niezatarte”.

Mimo, że bracia Tharaud napisali dość długi szereg powieści (oprócz cyklu żydowskiego, o którym powyżej: „Dingley, l'illustre écrivain”, „la Maitresse Servante”), trudno ich nazwać powieściopisarzami: brak im wyobraźni, brak zdolności stawiania i rozwijania charakterów, stwarzania sytuacji; tam zaś, gdzie (jak w „la Maitresse Servante”) zajdzie potrzeba rozwiązania sytuacji, dzieje się to w sposób rażąco nieprawdopodobnieństwem życiowym.

Twórczość braci Tharaud jest więc „pisaną rzeczywistością”, czy też „wielkim reportażem”. Swój brak zaufania do tematów czerpanych z wyobraźni wyrazili oni w dedykacji jednej z najpiękniejszych swoich książek („La Randonnée de Samba Diouf”, pisząc: „Według mego zdania, najpiękniejsze opowieści rodzą się dość rzadko w głowach literatów”).

Ich opowieści rodzą się zawsze z rzeczywistości widzianej, słyszanej lub też z rzeczywistości historycznej (jak np. „La Tragédie de Parailac”, „La Vie et la mort de Déroulede”). Tylko, że tę rzeczywistość rozszerza, pogłębia i zabarwia u braci Tharaud ich wykwinna kultura humanistyczna i bardzo rozległe wykształcenie, pozwalające na wartościowe reminiscencje i na wnikiwe, błyskawiczne syntezy.

Bracia Tharaud doprowadzili do doskonałości sztukę opowiadania, dzięki selekcji szczegółów i im tylko może jednym znanej w tak wysokim stopniu tajemnicy wydobywania świeżych, barwnych efektów ze słów szarych, powszednich.

Ci dziennikarze, zarzucający od lat przeszło dwudziestu gazety i periodyki francuskie artykułami z najprzebieższych dziedzin, przypominają w swych utworach książkowych to Méréme'e'go, to Barrès'a, to Fromentina: pozostają jednak zawsze sobą, zjawiskiem odrębnym, wybitnie indywidualnym.

Stanisława Jarocińska-Malinowska.

Nowy Andrzej Gide

Także i Andrzej Gide miał swą „tragedię pomyłek”. Jedynie metoda krytyki materialistycznej, tak świetnie zastosowana przez Juliana Bronowicza w stosunku do Żeromskiego, mogłaby zsondować całkowicie przepaść głębi bogatej twórczości literackiej tego pisarza. Najlepiej zresztą wyczuł tragedię tej sam Gide, gdy skarżył się na „brak brzości”. Twórczość Gide'a, poczynając od pierwszego anonimowego tomu „Les Cahiers d'André Walter”, a skończywszy na ostatniej jego powieści, którą sam autor, jak gdyby w podświadomości chęci zniwelowania wszystkiego, co do tego czasu napisał, nazwał „pierwszą swą powieścią”, — a więc do „Faux Monnayiers” — była, że tak powiem, zawieszona w powietrzu. Brak jej stałe rzeczywistości. Były to chowy ciepłarniane — bardzo zresztą piękne i o wysokiej kulturze — rozpadały się jednak w puch przy pierwszym brutalniejszym dotknięciu. Tem też tłumaczy się, że Andrzej Gide nie potrafił właściwie nigdy stworzyć szkoły literackiej, jak np. Balzac albo Zola. Jedynie krótkowide literackie zechca dopatrywać się „szkoły” tam, gdzie istnieje tylko głupie, beznamiętne naśladowanie.

„Ci, którzy nie urodzili się jeszcze” — przyznaje Gide, który sam wielokrotnie stwierdza, że „pisze dla przyszłych pokoleń”. Mniemanie to należy pozostawić o owych tragicznych pomyłkach Gide'a i zostało podyktowane przez tę samą chęć samoobłudy, która kazała mu nazwać powieść, zawierającą wszystkie pierwiastki poprzednich jego utworów literackich, swą „pierwszą powieścią”. — A na innym miejscu powiada: „Dzięki tej chorobie, która jest we mnie i która, by się wybażyć, uzewnętrzniam w dziele mem, myśl moja będzie żyła w świecie. Inni będą ją posiadali i przeżywali, nie będą chorzy i nie cierpiąc z powodu tej samej anomalności”. Wystarczy, nie znając nawet całkowitej produkcji literackiej Gide'a, przeczytać choćby tylko jego książkę o Dostojewskim, aby zrozumieć, o co mu chodzi. Całe „nieporozumienie” Gide'a w stosunku do życia rzeczywistego ujawnia się w tej właśnie książce. Podczas gdy Dostojewski całe życie myślał się, by przez realizowanie swego dzieła wyiszczyć z piekła, które niósł w sobie, Andrzej Gide z lubością hałas na łączce niemoralności i perwersji, kokieteryjnie spoglądając w stronę snobistycznej publiczności: „Widzicie — to ja!” Z cytatu, wybranych ze wszystkich dzieł Gide'a na świadectwo tych słów, można stworzyć spory tom. Lecz wystarczy uprzytomnić sobie tylko dwa, tak charakterystyczne dla każdego z obydwu pisarzy postacie, jak Raskolnikow Dostojewskiego i Lafcadio Gide'a by otrzymać różnicę.

Powtarzam: twórczość literacka Andrzeja Gide'a nie miała kontaktu z rzeczywistością, bez której żaden pisarz, choćby tak wielki, jak Gide, nie może istnieć. To też i Gide szukał podświadomo-

nie zetknięcia się z ziemią, z rzeczywistością, i znalazł je ostatecznie, acz późno, w ostatniej swej książce p. t. „Voyage au Congo”, która wywołała w prasie francuskiej podobną konsternację, jak „Przedwiośnie” Żeromskiego w prasie polskiej. Nawet „Nouvelles Littéraires”, oficjalny organ Francji literackiej, poświęcając książce tej całe dwie kolumny, skwapliwie przemiłczały prawdziwą jej treść i znaczenie.

Istotnie — ostatnia książka Andrzeja Gide'a jest naprawdę niespodzianką, — niespodzianką tem większą, że, jak wiadomo, Gide udał się do Konga z misją oficjalną i że władze kolonialne podejmowały go tam z igrasie wschodnią go-

nym metodą imperialistycznej polityki kolonialnej, przyczem nie należy zapominać, że proceś ten wytycza nie pierwszy lepszy chłystek literacki, lecz człowiek wybitny i autorytatywny. „Im mniej inteligencji posiada białe, tem głupszym wydaje mu się czarny” — woła z oburzeniem Gide, ubolewający, że nie przewidział, iż „niepokojąca kwestia naszego stosunku do tubylców zajmie go tak bardzo, że w zgłębianiu jej znajdzie jedyną rację swego pobytu w Kongu”. I oto mamy jawne, po raz pierwszy konkretne sformułowane wyznanie pomyłki. Gide nie przewidział, że rzeczywistość istnieje, ale przy pierwszym zetknięciu się z nią zajeła go tak bardzo, że znalazł w niej jedną rację swego pobytu w kolonijach.

Młda lafcadiowska ciekawość samego siebie, to psychiczne dębienie w trzonie chorego zęba, zanika natychmiast wobec faktów nagej rzeczywistości. Któżby się tego po autorze „Immoralisty” spodziewał? A jednak w „Podróży do Konga” zastanawiają go wyłącznie zjawiska w rodzaju następującego:

„Wczoraj Adoum spał spokojnie w swej chałupie. Wtem zjawiają się dwaj biali: sierżant i kapral. Szukają kobiety, w mniemaniu, że się tam przed nimi ukrywa. Adoum z początku milczał, ale widząc, że podoficerowie zabierają się do podłożenia ognia pod chałupę, zaczyna protestować. — „Do czego się wtrącasz, czarny brudasie!” — powiada jeden z podoficerów. — „Jak piśniesz słówko, to każe ci zakuć w kajdany i wsadzić do paki”. — „Jak to?” — odpowiada Adoum — to wy podpalacie chałupę, a ja mam za to pójść do więzienia?” — za co sierżant zwalił go tak mocno po morderze, że dziś znać jeszcze ślady jego uderzenia”.

Albo następujący przykład: „W niektórych okolicach władze francuskie w braku innych środków komunikacji zmuszają tubylców do przenoszenia ciężkich ładunków z jednej miejscowości do drugiej, co wskutek wielkich odległości pociąga za sobą zazwyczaj kilkunastodniowe marsze. Śmierć tubylców, obla-dowanych potwornym ciężarem jest podczas takich przepraw czemś, na co się w kolonijach wcale już nie zwraca uwagi. To też nie dziwne, że tubylcy uciekają masami do lasów, woląc najprymitywniejsze życie na swobodzie, niż śmierć pod ciężarem ładunków. Istnieje cały szereg osad, opustoszałych w ten sposób w ciągu kilku zaledwie lat”.

To zrywanie masek z „szerzycieli kultury i dobroczynności cywilizacji” jest dla Francji wielce niewygodne. Prasa stara się przemilczeć „incydent” i przejść nad nim do porządku dziennego. Ale „skandal” długo ukrywać się nie da. Sam Gide zresztą, zakosztowawszy rzeczywistości, nie ma zamiaru milczeć. Przygotowuje na jesień nowy tom notatek z podróży p. t. „Retour du Tchad” (Voyage au Cameroun). A wtedy skandal wybuchnie...

Artur Predski.



TOULOUSE-LAUTREC:
Dziewczyna w futrze

nik, łączący najwyższą wytworność ze zrzęcną wirtuozą, był pod względem fizycznym kaleką o odróżającej powierzchowności. Ułomność wielkiego twórcy polegała na tem, że ciało jego rozwinęło się normalnie tylko w górnej swej połowie. W ten sposób ostatni przedstawiciel rodu hrabiów Tuluz w młodszej linii, przyszedł dziedziczyć cennych dóbr Montfa, wyrósł na rodzaj gнома, na potworka o wielkiej, odróżającej brzydkiej głowie i króciutkich, słabych, krzywych nóżkach, z trudem dźwigających niekształtne ciało.

A jednak rodzinne zamilowanie do ćwiczeń fizycznych nie zanika bynajmniej u biednego kaleki; znajduje ono tylko inne ujęcie, niż u jego przodków. Lautrec rozpoczyna działalność artystyczną, jako malarz konia, którego jest pierwszym znanym; do końca krótkiego żywota pozostaje on namiętnym wielbicielem popisów, w których triumfuje siła, lub zrzę-



TOULOUSE-LAUTREC:
Tańczące wale

ność; cyrk jest jednym z nielicznych tematów, które odrywają go czasami od właściwego przedmiotu studiów.

Tym zaś właściwym przedmiotem zaciekawień Lautreca jest prostytucja, i to prostytucja niższego gatunku, jawna, prosta, szczerza, z naiwnym bezwstydem demonstrująca zewnętrzne atrybuty „rzemiosła”. Ze stosunek artysty do swego lubionego przedmiotu, był istotnie nawskroś erotyczny, o tem świadczą chociażby własne jego słowa, wypowiedziane w chwili koleżeńskiejszej szczeroci, że chciałby „wszystkie te dziewczki malować sperma, żeby były prawdziwsze”.

I oto zbieg okoliczności sprawił, że człowiek o tego rodzaju gustach skazany był na teoretyczne — nie ich przeżywanie — w sztuce. Zbieg okoliczności sprawił jednocześnie, że artysta o podobnych zainteresowaniach rozpoczął działalność w epoce, kiedy gusty te uchodziły za nieomylny dowód wyższości kulturalnej, a objawy degeneracji moralnej i fizycznej, stanowiły prozieb cywizyjności i dobrego tonu. Toulouse-Lautrec występuje bowiem na widownię w owym okresie ku schyłkowi wieku ubiegłego, kiedy „choroba wieku” nosiła nazwę dekadentyzmu, kiedy Paryż był istotnie stolicą świata, i kiedy dusza, lub raczej ośrodkiem nerwowym owego Paryża „fin de siècle” był Montmartre, ów Montmartre, budzący się



TOULOUSE-LAUTREC:
Zarłoczek

świata, nie był oczywiście Lautrec bez poprzedników w sztuce. Malarstwo impresjonistyczne, z premedytacją poszukujące tematów jak najbardziej „z życia”, posiadało już w swym dorobku sporo dzieł, odzwierciedlających zakulisową stronę obyczajowości współczesnej. Sporo obrazów tego typu pozostawił Manet, ocierał się nieustannie o te motywy Degas; on to jest właśnie inicjator i przewodnikiem Lautreca. Zasadnicza różnica pomiędzy malarzem, a uczniem, polega jednak przedewszystkiem na stosunku Lautreca do sztuki, wykraczającym dosyć daleko po-

„Jésus“ Barbusse'a

W literaturze XX wieku modne są utwory „rewizjonistyczne”. Celem tych utworów jest ponowne ustalenie stosunku do wielkich postaci dziejowych, względnie do osobistości fikcyjnych, zrodzonych w świecie idei. Znamienny jest ten typ książek dla epoki, która sama zbytnią oryginalnością bohaterów nie grzeszy. Nadprodukcji genjuszów również nie mamy, a co się tyczy idei aktualnych — geneza ich prawie bez wyjątku sięga XIX wieku. I dlatego epoka nasza bardzo chętnie cofa się pamięcią do t. zw. zamierzchłych dziejów, aby wydobyć z nich na własny użytek jakąś olśniewającą postać, godną idoliatrii lub potępienia. Chodzi o tak zwane „oświecenie” z nowego punktu widzenia.

Takie literackie procesy rewizyjne mają albo charakter rehabilitacji, albo demaskowania. Jedno i drugie tak się zyczajnie odbywa: bierze się jakąś olbrzymią postać z czasów odległych i na gwałt wynajduje się w niej cechy aktualne a nawet modne komunaly. Agresywność naszej epoki, będąca w gruncie rzeczy świadectwem jej własnej niemocy kulturalnej, posuwa się do tego stopnia, że w swojej własnej, ciasnej chałupie lekce ona wielkoluda odgrzebywanego i nie dba wcale o to, czy mu tam będzie wygodnie,



HENRI BARBUSSE

czy nie. Megalomania nigdy nie opuszcza naszych odnowicieli w takich wypadkach. Skoro dysponujemy setką gotowych światopoglądów i tysiącami „izmów”, od socjalizmu począwszy — a na uniwersalizmie skończywszy — pocóż się trudzić odgadywaniem duchowej prawdy i tajemnicy bohatera z przed wieków? Czyż nie prościej — skoro bohater jest nam sympatyczny — wyczytać go naszych formułkę, naszego abecadła i uczynić go wyznawcą naszej wiary? Lub skoro jest nam niemiły i pragniemy zerwać laur lub aureolę z jego głowy — czyż nie najłatwiej wyczytać go katechizmu naszych wrogów? Przeto: gdy autor, piszący np. o Jezusie Chrystusie, jest katolikiem, więc i Chrystus będzie katolikiem. Protestant — czyni z Chrystusa protestanta. Hellenista stara się zrobić ze „duchowego” Greka, socjalista udowadnia przynależność Jego do II Międzynarodówki, komunista — do III. I. t. d.

Niestety, i wielki poeta francuski, wzniosły epik „Ognia”, nie ustrzegł się od tej zwodniczej i uproszczonej metody i w swojej stylowo czarującej książce o Jezusie dał głęboko ujęte wypracowanie na temat: *Jakbym się zachowywał i co bym mówił, gdybym był Jezusem?* Żytykowiawszy sporo ciekawych i niezawiesznych źródeł do żywota Nazarejczyka, postarał się Barbusse o to, żeby w Chrystusie nie było nic irracjonalnego — natomiast, żeby wszystko dało się wytłumaczyć społecznym racjonalizmem. I rzeczywiście, po przeczytaniu książki odnosi się wrażenie, iż jedynym celem Chrystusa na ziemi była rewolucja przeciw panującemu w Judei i w całym imperjum rzymskim ustrojowi społecznemu. Rewolucja wprawdzie moralna, lecz przy umiejętnej agitacji łatwo dająca się zmaterializować. Jakkolwiek w tym utworze wiele miejsca zajmuje sprawa odrodzenia duchowego i miejsca te zaliczyć nam wypada do najbardziej poetyckich, chociaż wiele słów poświęcił autor adoracji jakichś bliżej nieokreślonej Wolności — to jednak każdy nieuprzedzony czytelnik wyczuje łatwo, że słowa te pisał człowiek mocno skrepowany dogmatami, których przekroczenie sprawiłoby mu przykrość. Autor „Jezusa” nie wierzy w Boga, więc przekonywa czytelnika, że i Jezus był ateista. (Myśl to nienowa i niedoślabniona. W ostatnich czasach też podobną postawił filozof niemiecki, wyznawca Spinozy, Konstanty Brunner, w olbrzymim dziele p. t. „Unser Christus, oder das Wesen des Genies”). Autor nie wierzy w miłość więc i Jezus nie kocha. Wierzy natomiast: Barbusse w Czwolwika, przez duże C, w Sprawiedliwość i Rewolucję. Oczywiście, Jezus jest jego lojalnym współwyznawcą. Określając Chrystusa jako zaciętego wroga wielkiej

fikcji, zwanej Bogiem, pozwala Mu Barbusse, co więcej — surowo Mu nakazuje czcić inne fikcje i utopie, rzecz jasna — sobie sympatyczne. Utożsamieniu poglądów Chrystusa z poglądami autora sprząją znakomicie technika opowiadania w pierwszej osobie. Szlachetny ból człowieka współczesnego, dręczonego walką klas, oddaje ta książka z przyciszoną pasją, nieraz z klasycznym umiarem. Słowo Barbusse'a, lakoniczne, proste i ostre — ma w sobie patos szeptu. I osiąga cel, niewiem czy świadomy: zapominamy o tem, kto mówi. Słuchamy Barbusse'a. Głos krzywdy i tęsknoty poetyckiej za sprawiedliwością na świecie — jest w tej książce naprawdę wielki. Jednak najortodoksyjniejszy sceptyk i materialista nie przebaczy Barbusse'owi wykroczeń logicznych. Skoro Barbusse stara się cały swój bolesny wykład, z podziwu godną surowością, oczyścić z irracjonalizmu, jak mógł sam się wyłamać z pod rygoru zdrowego rozsądku? Czemu w swojej kampanii przeciw Chrześcijaństwu posłużył się tak dziecinny i melodramatycznym środkiem, jak ów sen Chrystusa w rozdziale XXIX? Stojąc twarzą stopą na gruncie historycznym, opierając się kurczowo o dokumenty, skąd się dowiedział o tem, co się Chrystusowi śniło po spotkaniu z Pawłem na drodze do Damasku? Jakim prawem wkracza racjonalista w nieskontrolowaną treść nie swoich snów, żeby budować z nich fikcyjną Apokalipsę na własną rękę? Wiec jakże? Ustawicznie wbija się nam w głowę, że niema rzeczy nadprzyrodzonych, że Królestwo Jego było z tego, postokroć z tego świata i rozkazuje się nam wierzyć tylko w życie doczesne, *w namacalną jawę bytu*, poto, aby nam wkończ pokazać własnorecznie czarnych aniołów, zjawiających się Jezusowi we śnie? Te apokaliptyczne wizje, opowiadane w pierwszej osobie, pachną siarką i alegorjami Flauberta z „Tentation de Saint Antoine”. I jak można budować gmach swoich zuchwałych dowodzeń przeciw metafizyce na rozmowach w cztery oczy w czwartym wymiarze?

Co się tyczy samej osoby Jezusa, jest on u Barbusse'a zanadto prostolinijny, jak na człowieka i tylko człowieka. Oddwynizowanie Jezusa, w celu zupełnego ucłowiczenia tego Syna Człowieczego, nie udało się Barbusse'owi. Nawet ludzie przeciętni, t. zn. zwykli śmiertelnicy, którzy już nie w dziejach świata, ale w ściślejszem kółku spełniają jakąś misję, są bardziej skomplikowani od tego bądź co bądź niezwykłego śmiertelnika. Odpędzając od siebie wszystko, co jest choćby cieniem kultu boskiego wobec Jezusa i zwałając na Pawła całą odpowiedzialność za eksploatację chrystusowej śmierci w celu ufundowania nowej religii, powinien był Barbusse pokazać w Jezusie, w tym arcy-człowieku, więcej załamania, wahań, zrygasków, sprzeczności, niż to uczynił. Człowiekiem przecie, pełnym sprzeczności i rozdwójenia, jest bohater czterech Ewangelii.

Tyle pewności siebie, ile posiada Jezus Barbusse'a — mają tylko niemiłymi bogowie. Jezus Barbusse'a nigdy nie mówi: — „może”, „nie wiem”, jest zadziwiająco apodyktyczny, rzadko się zastanawia, na wszystko ma gotowe odpowiedzi. To jest trochę podejrzane i pachnie tyleż samokanonom, co dyscypliną partyjną. Nigdy nam ten Człowiek nie robi niespodzianki i już zgóry wiemy, co powie. Na terenie tej książki w psychice bohatera zachodzą minimalne zmiany, od samego dzieciństwa jest on już nastawiony na doskonałość, nieucielając z powagą człowieczego błędnie i tragicznego szukania pomocka. Jezus Barbusse'a wogóle niczego nie szuka. Wszystko znajduje na komendę literata. Biorąc charakterologicznie, mamy tu do czynienia ze schematem pewnej zgóry określonej doskonałości, a nie z wyymym człowiekiem. Zależało również Barbusse'owi na tem, żeby pozbacić Jezusa wszystkiego, co w Nim było łacińskie i greckie. To mu się częściowo udało. Pokazał młodego rezonera żydowskiego, który nie ma, czy nie chce mieć zrozumienia dla greckiej eschatologii. W stosunku do Rzymu ma Chrystus tylko znaczenie przygodnego skazanca. Główny winowajca chrześcijaństwa, św. Paweł, nazwany przez Chrystusa-Barbusse'a demagogiem, reprezentuje w tej książce kulturę grecką i rzymską w jednej osobie. Dzięki niemu powstaje mit Chrystusa, legenda Zbawiciela oraz obca samejmu Jezusowi idea odkupienia przez śmierć. Jedynym, prawdziwym uczniem Chrystusa jest — wedle Barbusse'a — Magdalena. Wistocie, to postać piękna i tragiczna i najwymowniej milcząca w tej niegadaliwej zresztą książce. Także Judasz wywiera duże wrażenie dzięki skrótowi literackiemu, w jakim się jawi. Jan Chrzciciel może najbardziej odpowiadać tradycji ewangelicznej. Jest dziki i owiany wichrem pustyni. Ale ustępy z Matką Jezusa należą do najwznośszych poezji, jaka w ostatnich latach wyszła z pod pióra Francuzów.

Józef Wittlin.

Pologne Littéraire

ukazał się nr. 10

o treści następującej:

Jan-Topass: Towiański et les grands romantiques polonais. — Junius et Władysław Zawistowski: „La tour de Babel” par Antoni Słonimski. — Wacław Husarski: Les portraits polonais de M-me Vigée-Lebrun. — Le transfert des cendres de Sło-

wacki. — *Juljan Tuwim*, Uebertragung von *Lorenz Scherlag*: Die Fäuste ballen. — *Zofja Natkowska*, traduction de *Felicia Wyleżyńska*: Un fragment de „Choucas”. — *Z. K.*: La Pologne littéraire et artistique à Paris.

Prenumerata „Pologne Littéraire” oddzielnie wynosi wraz z przesyłką zł. 2. — kwartalnie, egzemplarz pojedynczy groszy 80, administracja: Warszawa, Boduena 1, tel. 223-04, konto w P. K. O. 8.515.

M. H. Szpyrkówna. Poezje. Warszawa, F. Hoesick, 1927; str. 115 i 1nl.

Skala talentu p. Szpyrkówny jest bardzo nierówna. Na przestrzeni przeszło stu stronic jej tomu, obok zwykłych „nizin”, dostrzegamy wiersze wznoszące się na poziom dojrzałej i dobrej poezji.

Nieprzypisywanie wagi do samej roboty utworu, nieliczenie się z ciężarem słowa, a zatem i brak dłuższego, skupionego wysiłku w kierunku najlepszego rozwiązania wiersza — są zapewne źródłem owej falistości.

Pokusa nastrojów i nastroików jest dla p. Szpyrkówny największym niebezpieczeństwem. Dla poety musi istnieć pewna hierarchia wzruszeń i nie każdy wietrzyk uczuciowy należy zaraz zaprzęgać do poetyckiego wiatrak.

Wiersze poczęłe w tego rodzaju okolicznościach są zazwyczaj nieudane, bez wyrazu, w pośpiechu źle rozwiązane, niedociągnięte lub przeciągnięte.

Wiersze „Relikwiarzy” i „Kraj lat dziecinnych”, dwa cykle, tworzące dość plastyczną kompozycyjnie całość, należą do najlepszych poezji p. Szpyrkówny. Prosta ich, osiągnięta przy stosunkowo skromnych środkach, świadczy, iż p. Szpyrkówna jest u siebie w domu. Będziesz maleńką! Widać objęcie swobodnie, dużo dobrze rozplanowanych szczegółów dzieciństwa, trochę szczerzego sentymentu i naiwności, a co najważniejsze — z kątów nie wygląda co chwila uporczywy banał, jak się to dzieje w cyklu „Rozważania” lub wierszach „O rycerzu, sercu i chwale”, „Sprzecznościach” i t. p. Rekord na wiersz krótki, zwarty, dobrze zbudowany w dzisiejszej polskiej poezji kobiecej ustanowiła

NOWA KSIĄŻKA OSSENDOWSKIEGO

Biblioteka Dziel Wyborowych. Redaktor *Feliks Gadomski*. Tom 24. *F. Antoni Ossendowski*. Cień ponurego Wschodu. (Za kulismis życia rosyjskiego). Warszawa, 1927; str. 153 i 7nl.

Streszczenie „Cienia ponurego Wschodu” nie wystarczy. Jest to bowiem utwór tendencyjny i rozważanie jego sprowadza się właściwie do analizy tendencji. Ossendowski narobił zagranicą wiele wrzawy na rynku literackim, tłumaczono też na języki europejskie omawianą książkę. Krytyka przyjęła ją nader życzliwie, aczkolwiek poglądy autora na genę i charakter rosyjskiej duszy zbiorowej stały się przedmiotem ożywionej polemiki, podsypanej z jednej strony — przez koła emigracji rosyjskiej, z drugiej — przez biuro propagandy sowieckiej. Interesuje nas ten właśnie „charakter rosyjskiej duszy zbiorowej”.

Niema nic bardziej giętkiego i szablonego, jak wszelkie ogólne enuncjacje na temat „dusz zbiorowych” rozmaitych narodów. Są to tezy najzupełniej bezzasadne praktycznie, a aktualne jedynie w chwilach pogotowia wojennego; paradossem zaś jest identyczność tych tez po obydwu stronach jakiegokolwiek białego frontu. Tak zwana „dusza zbiorowa narodu” to zazwyczaj jedynie skomosaowane programy polityczne jakiegoś rządu, ujęte w perspektywę dłuższego okresu władzy. Publicyści szermują tym pojęciem z tak niezachowaną wiarą w absolutną jego pewność, że nie w tem dziwnego niema, iż pan Ossendowski, uprawiający raczej feljeton podróżniczy aniżeli działalność naukową, nie zastanowił się ani razu nad tem, czy jego „Za kulismis życia rosyjskiego” nie posiada ideologicznie jakichś skaz. Argumentem podstawowym jest stanowisko negatywne w stosunku do Sowietów i Rosji. Książka składa się z szeregu artykułów, z których każdy porusza jakieś charakterystyczne dla „psychiki rosyjskiej” zagadnienie i „Dusza rosyjska” (ta przedwojenna i

Pawlikowska. Jednozrotkowe wiersze z cyklu „Una piccola favola” oraz „Una tragedia”. Szpyrkówny mocno przypominają „Stumetrówki” Pawlikowskiej, jednak bez jej temperamentu i ze skłonnością do analitycznych, często banalnych rozważań.

Rozważania owe są słabą stroną książki. Refleksyjna filozofia p. Szpyrkówny, wyrządza dużą szkodę wierszom. Raczej „Pieśni”. Do nich jednak można zastosować w całości zarzuty, o których wspominałem na początku. Liryki te nie są uczciwie wykończone. Idą po linii „najłatwiejszego natchnienia”.

Np. bardzo dobry początek „Legendy księżycowej wody” zostaje później zepchnięty przez bardzo pospolity i ograny w poezji motyw. Wreszcie słownictwo: „Dzwonogłosem wyrażem”, „pełnieniem poboru”, „mową snów”, „baśnią”, „jaśnią” i t. p. jest dzisiaj już dość trudno porozumieć się z czytelnikiem. Chyba, że się te słowa raz jeszcze odnajdzie na nowo.

j. l.

Marja Kasterska. ^{9/10} przeciw ^{1/10}. Poezje. Warszawa, F. Hoesick, 1927; str. 30 i 2nl.

Utarła się ostatnio nieprzypoita, niemądra maniera poprzedzania tomików wierszy wstępami, przedmowami i wyznaniami. Z pewnością, co wolno „wojewodom” poezji, to nie musi stać się zaraz regułą dla wszystkich.

Jest bowiem rzeczą zgola obojętną dla czytelnika, czy guza p. Kasterskiej składa się z ^{9/10} nieswiadomości a ^{1/10} świadomości, czy odwrotnie. Równie mało interesuje nas bibliognoza autorki.

specjalnie chłopska) potraktowana jest jako konglomerat zabobonów i gusel, wiary w „jurdiowych”, „Kliksze” i t. p. Myśli się: chyba studjum religioznawcze. Zaraz potem mamy dłuższy rozdział o Rasputinie w związku z przesadnością, panującą w „mroku pałaców”. Dalej o systemie szpiegostwa i prowokacji, uprawianym przez rząd rosyjski; zreferowana jest sprawa Azeła. I aż do końca książki rozmowy o satanizmie, sektach religijnych i

OSSENDOWSKI W LONDYNIE

Przebywający obecnie w Londynie F. Antoni Ossendowski organizuje swoją turę odczytową po Ameryce, oraz omawia w kołach miarodajnych nową wyprawę. Ossendowski był przyjęty przez posła polskiego w Londynie p. Skirmunta śniadaniem, na którym spotkał się z dwoma afrykańskimi podróżnikami: sir Slatinem-Paszą, który przez 11 lat był w niewoli u Mahdi Mahometa, oraz z generałem, sir Reginaldem Wingatem, najbliższym pomocnikiem sławnego vice-króla, lorda Gordona. Ossendowski miał spotkanie i długie rozmowy z redaktorami Times'a, Daily Chronicle, Daily Mail oraz Daily Mirror. Założycielka PEN-Club'u, pani Dawson Scott podejmowała polskiego piosarza herbatą i ofiarowała wiersz, napisany dla niego. Ostatnia książka Ossendowskiego, która ma się zjawić w Polsce na jesieni nakładem „Wydawnictwa Polskiego”, obecnie jest w opracowaniu angielskiem; będzie ona wydana p. t. „The Slaves of the Sea” prze Allen and Unwin w Londynie. W związku z zatargiem angielsko-sowieckim książka Ossendowskiego „The Shadow of the Gloomy East” ma wielką poczytność.

POLSKA ZAGRANICĄ

— Leonard Kociemski w rzymskim „Il Messagero” z dn. 21 sierpnia b. r. pomieszcza obszerny artykuł o Adolfie Dygańskim.

— „Berliner Börsen-Courier” z dn. 26 sierpnia b. r. drukuje urywek z książki J. Kaden-Bandrowskiego „Europa zbiera siano” („Jeszcze cię niema...”), w przekładzie J. H. Michela.

— „Prager Presse” z dn. 5 sierpnia b. r. streszcza artykuł J. N. Millera, drukowany w 31 numerze „Wiadomości Literackich” p. t. „Odprawa krytykom na S”.

— „Journal de Genève” z dn. 19 sierpnia b. r. zamieszcza notatkę o książce prof. M. Handelsmana „Les idées francaises et la mentalité politique en Pologne (1795 — 1846)”.

— „Neue Züricher Nachrichten” z dn. 12 sierpnia b. r. zamieszcza b. pochlebną wzmiankę o zęgodłowiczowskim przekładzie „Fausta”.

— W strasburskim „Journal de l'Est” z dn. 10 sierpnia b. r. oraz w brukselskim „Le Soir” z dn. 5 i 9 sierpnia b. r. znajdujemy obszerną korespondencję o odsłonięciu pomnika Sienkiewicza w Bydgoszcy.

— W „Comoeidia” z dn. 25 lipca b. r. znajdujemy reprodukcję pomnika Mickiewicza dłuta Bourdelle'a.

— „Comoeidia” z dn. 22 lipca b. r. donosi, że rada miejska Paryża uchwaliła zezwolić na wzniesienie pomnika Mickiewicza na placu Alma.

— W „Mercure de France” z dn. 15 czerwca b. r. znajdujemy „list polski” Z. L. Zaleskiego, poświęcony sprowadzeniu zwłok Słowackiego, wspomnieniu o Kasprowiczu, „Kręgowi” Zęgodłowicza, „Ko-

Znajomość książek Baudelaire'a, Plessis'a czy Aleksandra Hyzden nie decyduje w tym wypadku o niczem. Ważna jest jedynie wartość wiersza. Powinien on mówić sam za siebie. Wszelkie komentarze, zazwyczaj naiwne paletyczne, mówią wręcz o snobizmie i wierszom nic a nic nie pomagają. Tomik p. Kasterskiej składa się z wieńca (niepełnego) sonetów p. t. „Rozkwitłe wzgórza” oraz cyklu wierszy „Nieprzeżyte szczęście”.

Wiersze te, o wartości przeciętnej, pisane poprawnym jednosto- lub trzynastozgłoskowcem nie wnoszą do poezji żadnych nowych zdobyczy. Refleksyjnej liryce p. Kasterskiej brak siły sugestywnej.

Forma sonetu (używana najczęściej przez autorkę) wymaga doskonale dojrzałej treści. W przeciwnych razach sonet staje się pilą. Zarzyna wiersz, rżnie czytelnika! A cóż dopiero taki tartak sonetów jak wieniec. Czytając poezje p. Kasterskiej ma się wrażenie, że od czasów „Chimery” nic się w poezji polskiej nie zmieniło. To samo lekkaweństwo słowa, brak miary i skondensowania, rozlewność i mdła nastrojowość.

Jeśli mowa o wpływach to można by przyprowadzić pewne ideowe pokrewieństwa między sonetami Kasterskiej a „Nad głębiemi” Asnyka.

Asnyk wszakże miał całą jednostkę świadomości i talentu oraz kregosłup Schopenhauera. Kościec zaś filozoficzny systemu p. Kasterskiej jest mocno problematyczny.

W ^{1/10} świadomości autorki leży ocalenie jej talentu. I nie trzeba się wahać. Bo wogóle ta podświadomość... Wierszom to już napewno bokiem wychodzi.

j. l.

mistycznych, by wreszcie autor wybuchnął płomienną diatrybą o grożącym Europie zalewie mongolskim. Czemu mongolskim a nie rosyjskim? Znowu pogląd z rodzaju wygodnie poetycznych. (Patrz Bloka „Scytometry”: „Da, Skify my, da Azjaty my...”). Rosjanie nie są jednoliti i czystą etnicznie narodowością, co jest oczywiste przez sam charakter przestrzenny Rosji. Domieszką krwi tatarskiej oraz to, że „Sowiety, podburzając Daleki Wschód, naraziły się na zemstę jego, widmo zupełnej mongolizacji”, pan Ossendowski łączy w jedną wizję. Czas chyba już skończyć z tem „żółtem niebezpieczeństwem”, nierealnym politycznie, a groźnym tylko dla stanu posiadania przedewszystkiem Anglii i Francji. Rola męża opatrznościowego, jaką na się bierze p. Ossendowski, męża, który otwiera światu zaślepione oczy, jest zgola nieaktualna. Zainteresowane państwa posiadają odpowiednio zorganizowane wywiady, dobrze, bo stale informujące swoje rządy. Autor woła: zwrócić swoje oczy na Wschód! Ex oriente pestis! I obserwacje kultów religijnych stają się nagle argumentami politycznymi, które każdorazowo przed okrzykiem: biada nam, bo grozi nowe najście tatarskie! — powiadają głośnym szeptem: to wina Sowietów!

Należałoby, chcąc być lojalnym wobec postawy autora, przetłosać całą jego książkę, posegregować ją. Posklejać całą jego wiedzę religioznawczą, oddzielić materiał anegdotyczny, polityczny, historyczny — oraz część wnioskową. Przeanalizować każdą pozycję oddzielnie i dopiero ustalić poprawność wniosków. Te bowiem są demagogiczne. Autor, innemu ciorpawda słowami, dowodzi iż these, że Rosja jest zgnila. Pewnej chwili wydało mi się, że to Sowiety utworzyły ustrój carski. Było to śmieszne, ale jako dedukcja — prawdziwe.

Język „Cienia ponurego Wschodu” jest obficie zachwaszczony rusycyzmami.

hr.

SKAMANDER

UKazał się nr. 49 (za lipiec 1927)

Treść zeszytu:

..... — *Leopold Staff*.
Oko w oko. Poemat — *Antoni Słonimski*.
Święty Franciszek z Assyżu. Aksamit tury — *Józef Wittlin*. W mroku. Ghetto. Ślepiec w sadzie. Lipowa łyżka — *Włodzimierz Słobodnik*. Pozdrowienie wieczorne. Poeta Kisai. Noc w Azji. Niebo. Kontrasty — *Stanisław Baliński*. Ręka przyjaciela. Rue Bagneux — *Irena Tuwim*. Moja mistrzyni — *Mieczysław Braun*.
Odwiedziny miejsc ulubionych w młodości — *Jarosław Iwaszkiewicz*. Dzień i noc — *Mieczysław Jastrun*. Rudy półśmiech — *Marja Kuncewiczowa*. Dzieje grzechu — *Jerzy Paczkowski*. Jeździec — *Jerzy Liebert*. Żona poety — *Kazimierz Wierzyński*. Wóz — *Konstanty Galczyński*.

Okładka *Janiny Konarskiej*.

Administracja: Boduena 1 m. 2, tel. 223-04, codziennie od 9 — 18. Konto czekowe 8.515.

Prenumerata z przesyłką w stosunku zł. 8.— kwartalnie, łącznie z „Wiadomościami Literackimi” w stosunku zł. 15.—kwartalnie, zeszyt pojedynczy zł. 3.—, dla prenumeratorów „Wiadomości” zł. 2.25.

ANTOLOGIA PARODJI

Biblioteka humoru. Redaktor *Juljan Tuwim*. Tom 6. Antologia polskiej parodji literackiej. Warszawa, J. Mortkiewicz, 1927; str. 88 i 10nl.

Istnieje pewna podstawowa trudność terminologiczna: ładne określenie nie zawiera w sobie wskazówek co do stopnia nałężenia cechy charakterystycznej. Gdy się powiada: „parodia”, oznacza się tylko rodzaj, nie zaś stopień doskonałości. W naszym wypadku trudność ta zostaje pośrednio ominięta, dzięki temu, że zawsze parodia *odpowiada* pewnemu ściśle oznaczonemu utworowi lub rodzajowi, który ją wyznacza. Ślad doskonałości poetycka wzoru obowiązuje parodizującą kopję, a obowiązkami parodji jest kongenialność poetycka. Nie należy pojmować tego figuralnie. Weźmy dla przykładu oktagwę „Beniowskiego”. Słowacki nie wynalazł tej strofy, autorstwo poznajemy po specyficznym słowotwórstwie, po składni, po tropach, po imionach wreszcie bohaterów, co znow jest najprymitywniejszym wyznacznikiem. Parodysta „Beniowskiego” musi swoją surową oktagwę ugnieść na wzór dany, musi przedtem zgryźć wszystkie subtelności techniczne, wszystkie drobne charakterystyczności, by polem, wymiottiłszy je z pola swej świadomości, puścić po torach, które one w jego pamięci pozostawiły — świeżą warłką wodą *ironicznego* natchnienia. Twór taki powinien czorawać autentycznością poetyckiego oryginału, aż do złudzenia. Ironja byłaby tedy dostrzegana w drugim dopiero rzędzie, i z trudem niejako odkryta, posiadłaby wartość zdobyczy. Parodia dla poety, który ją uprawia, jest twórczem znanstwem technicznych specjalnych spraw poezji w różnych jej przejawach. Nie tworzy apokryfów. Nie jest ona jednak bezinteresowna. Świadome czyni blady temat koścem kunstownej lub dostojnej formy. Parodia, ponadto, że operuje dowcipem, sama jest dowcipem i dlatego często się opłaca w końcowym wyniku.

Parodia posiada dwoisty charakter: musi być od strony formy szczerą poezją, ale poezją zapłodnioną przez dowcip. Bywa też często, że poeta w gorliwosci parafrazystycznej „kładzie” swoją robotę, tworząc niezamierzony apokryf. Taki właśnie los spotkał parodję poezji Tadeusza Micińskiego w „Wariacjach na temat wierszyszyka „Nie rusz Andziu tego kwiatka”, zarówno jak znajdującą się w tej samej serji parodji „Ballad i romansów”. Podobnych przesolonych parodji jest więcej w omawianej „Antologii polskiej parodji literackiej”. Dzieli się ona na dwie wyraźne połowy: retrospektywną i aktualną. Przynam, że wolę aktualną; bije ona tę przegładową, zarówno swobodą wynalazczości jak i inteligencji. W starych parodiach ciekawe jest słowotwórstwo (Najstarsze w tym zbioru sięgają zaledwie drugiej połowy XVIII-go wieku). Nawet osławiona „Darczanka” nie wymosi się ponad poziom innych. Najwspanialszą z całego tomu jest wśród „Wariacji na temat: „Włazi kotek na płotek” parodia Boy'a p. t. „Madrygał”, pióra Stomimskiego i Iwaszkiewicza.

„Włazi kotek na płotek
I mruga —
Z tych dwu niewinnych zwrotek
Milsza będzie ta druga.
Ześ mię już zwała swym kotem,
Prosi Cię wierny twój sługa:
Bądźże choć raz dla mnie plotem,
Na który się włazi i mruga.”

Całe „Słówka”, cała historia „Zielonego balonika” zawarta jest w tym ośmiowierszu. Nienależy go analizować. Parodia ta posiada tę własność, że zrozumiała jest bez komentarzy koterji czy klki, co nie da się powiedzieć o dowcipach. Jedynym komentarzem jest wysiłek pamięci, sprawdzający jednorodność zewnętrzną charakteru oryginału i parodji.

Parodie zawarte w omawianym tomiku są parodiami stylu. Nie parodują myśli. Dlatego naiwnością grzeszy np. parodia Wyspiańskiego, będąca nie dowcipem, ale okrucieństwem bezużytecznem. Kot — Apollo! Robota sztya największym szwem. By działać, musi parodia odpowiednio przetłosać dowcip podstawowy z formą imitującą pewną twórczość. Jest to szkopu podobny do tego, któremu nie dała rady Magdalena Samozwaniec, mianowicie: do sprawy imputacji. Parodia posiada pewną tylko pojemność, i parodjowanemu pisarzowi można wmowić coś do pewnych tylko granic. Umiar jest w tej dziedzinie, która zdawałoby się nie potrzebuje go zupełnie — najkonieczniejszy. „Na ustach grzechu” posiada ustaloną już klasyczny reputację. A jednak lepszy jest pierwszy fragment (parodia „Nowelki morskiej” od drugiego, gdyż w pierwszym wyczuwa się całkowicie związek formy (imitacji) i myśli (dowcipu) z pewną literaturą, a drugi jest czystą twórczością p. Samozwaniec. Przedrukowanie niektórych ustępów jednolitości „Jadą moiśki literackie” było może aktem kurtuazji, czyli tak zwanego taktu, to znaczy że w przytoczeniu opinii nie pomija się i ujemnych, ale było to też zupełnie zbyteczne. Były to złośliwości odważne zgola nie po aptekarsku. Najlepiej z nich wypadła parodia ballady Emila Zęgodłowicza, „o powinodzie, nosiwodzie, kuternodzie, wojewodzie bezdzickim, druciarku, o dudkach garczych i lipowem kwieciu, jakoteż na polu malinach suszonych, tudzież o różnych ziółkach ze szczegółowym opisem, które od jakiej boleści służy i co z tego wynikło” — jedna z ciekawszych krytyk praktyki poetyckiej przywódcy „Czartaka”. Najwyższą, choć oczywiście najmniej poetycką częścią zbioru jest przedruk ze sławnego już numeru „Przewodnika Bibliograficznego”.

Henryk Drzewiecki.

ZAPOMNIANY POETA

Cztery lata mijają od śmierci Jana Stura, czas więc najwyższy, by przypomnieć go tym wszystkim, którzy, najadsi się do przesyty poezją najmniejszego oporu, zaczynają objawiać chęć do zapoznania się z twórczością nieaktualną, ciemną i oporną.

Jan Stur wystąpił na widownię w r. 1919 czyli w okresie największego zamętu ideologicznego i artystycznego. Stur, wychowany na romantykach polskich, głęboko tkwił w tem, co bym nazwał „mesjanizmem słowa”. Słowo było dla niego prośnięciem, wołaniem widzącego, groźbą, przekleństwem, formalna konstrukcja słowa była dlań rzeczą drugorzędą. Przytem psychika nawróconego niewspółczesna, fanatyzm przypominający średniowiecznych mnichów. Przylączył się do grupy „Zdroju” w Poznaniu, która odznaczała się bezspornie dobrą wolą, ale małą potencją twórczą. Stur miał ambicję stworzenia odrębnej ideologii dla polskiej grupy, ale ugrzązł beznadziejnie w Norwidge i nie mógł ruszyć naprzód. Bardzo cenił Jerzego Hulewicz, ale już wówczas przeczuwał w nim skamenialność. Wydał w Poznaniu pierwsze dwa tomy: „Anima Nostra” i „Triumfy”. W pierwszym zamknął wszystkie swoje próby, by w drugim pokazać już pełne i własne oblicze. Prof. Kleiner umieścił recenzję o tych książkach, pełną entuzjazmu, witając w Sturze godnego kontynuatora polskiej poezji wieszczej. Stur wydał także w owym czasie rozprawę o Micińskim, nacechowaną głębokim zmysłem krytycznym.

Ale naogół nie służyła Sturowi atmosfera „Zdroju”. Pod wpływem jego redaktorów wypaczył się w nim zdrowy instynkt twórczy. W Poznaniu uprawiano obowiązkowo, — pod groźbą utraty „mana Poezji” — szkolawienie współczesności. Niewątpliwy talent Zenona Kosidowskiego zmarniał. Zegadłowicz w „Odejsku Kaia Moora” dał próbę *epileptycznej* prozy poetyckiej, zjeżdżając uderką i nudą. Dopiero po odejściu od „Zdroju” wyprostował się jego talent, natrafiający na własny grunt. Plastyki zdrowejczy zaś są do dziś dnia ostrzeżeniem jak malować lub rzeźbić nie należy.

Stur po dłuższym milczeniu zaczął pisać swe fundamentalne dzieło, najgłębsze i — ostatnie: „Czeka wędrownego”. Jest to trylogia bohaterstwa, natchniona praca człowieka samotnego, który się uwolnił od wszystkich być może ze wszystkim przebywać. Są w niej miejsca o wysokim napięciu duchowym, o ogromnej czystości, świadectwo miłości żarliwej i bezustannej pracy wewnętrznej. „Czek wędrowny” czeka na swego mistyka i jemu zostawiam analizę tego dzieła. *Dziś* stwierdzam tylko, że przyjdzie czas, gdy się odnajdzie w nim niespotykany we współczesnej poezji polskiej najczystszy patos religijny i najpiękniejszą żarliwość słowa twórczego.

Książka „Na przełomie”, wydana w r. 1922, poświęcona jest nowej poezji polskiej. Należałoby ją od czasu do czasu przeglądać, a stwierdzić się ile w niej było jasnowidztwa krytycznego. Stur pierwszy bodaj ocenił w całej pełni talent Zegadłowicza i przepowiadał mu świetny rozwój.

Kto nie znał Stura osobiście, nie może sobie wytworzyć pojęcia, jak dalece sięga bezinteresowność człowieka walczącego. Józef Wittlin potrafiłby coś o tem powiedzieć. Za życia był większy od swego dzieła, ale teraz, po śmierci, dzieło przetrasta go i zwycięża umarłego żarem i potęgą, która się zwiększa z dnia na dzień. Przedwczesna śmierć (umarł w 27 roku życia) przerwała rozwój człowieka, dla którego każdy dzień był szczyblem w walce o świętość. Czas, po rozmaitych „Jednodniówkach” zajrzeć do „Pism” Jana Stura, by nawiązać z powrotem łączność ze słowem nienaduzującym do matych spraw, ze słowem wielkiem.

Aleksander Dan.

KRONIKA TYGODNIOWA

Zginiesz straszną śmiercią! — Przepowiednie pogody. — Czekoladki Wyplutos. — Wezwanie do wszystkich osób. — Niezły sposób. — Spadanie z kanapy. — To także ludzie. — Śpiewanie pieśni na trzy głosy. — Nareszcie rozsądna rozmowa. — Francuz to duża rzecz. — Łotwa z Litwą. — Opo-wiadania w Quimper. — Kokoszniki. — Wysłać czy nie wysłać? — Nowe ubranko. — Reklama Brocard'a et Cie. — Drapowanie Żydów. — Jampolski u cioci. — Menu bankietów. — Nieprzyjemne typy. — Salon towarzyski Europy.

Pisma warszawskie w każdym prawie numerze pomieszczają następujące ostrzeżenie:

„Obywatelu! Zginiesz straszną śmiercią, jeśli napad gazowy zastanie cię nieprzygotowanym. Czy jesteś już członkiem Towarzystwa Obrony Przeciwgazowej?”

Dawniej w tak zwanych „złoty myślach”, kalendarzach i wzorkach do kaligrafii groziło się: „kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie”, „kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada...”. Nie czyni drugiemu co tobie nie miło? „Zbrodnia bywa zawsze ukarana”. Obecnie zaczynają prywatnym i niewinnym ludziom grozić śmiercią w meczarniach. Mogę się zgodzić, aby mi przepowiadano pogodę na jutro, ale takie zawiadomienia o niechybnej śmierci, wiadomo że co i dla czego, to już nieco zawiele. Gdyby mi pisało: „Zostaniesz uduszony, jeśli nie kupisz Elektro-Luxa” albo „Udławisz się, jedząc czekoladki Wyplutos — kupuj tylko Wedla”, mógłbym się jeszcze namyslać, ale w tym wypadku nie dają mi najmniejszego wyboru. Wyżnam wszystkie osoby w Europie zainteresowane w sprawie uduszenia, aby wpłynęły na swoich braci, siostry i ciotki w kierunku zaprzestania fabrykacji gazów. Jeśli nam naprawdę zależy na tem, abyśmy nie byli wytruci — śmieiem przypuszczać, że jest to wcale niezły sposób. Fabrykowanie gazów poto, aby nie zostać uduszonym, przypomina mi kładzenie się na ziemi poto, żeby nie spaść z kanapy.

Ostatecznie ci groźni najeźdźcy, te tajemnicze bestje, które mają nas wytruci to także ludzie których straszą i którzy sporo „przyjemności” znajdują w życiu, picciu piwa i śpiewania pieśni na trzy głosy. Trzeba by było zejść, którego wieczoru z sąsiadami ze wschodu i zachodu i pogadać. „Wicie, mają nas wytruci i mówią, że to wy szykujecie nas do tego żartu”. „To ciekawe — odpowiedzą nam sąsiedzi — bo i nas tem straszą”. W takiej rozmowie mogłoby się wykłarować wiele prawd pożytecznych i niejedno brzydkie oszustwo mogłoby wyjść na jaw.

Do różnów podobnych mamy coraz więcej okazji. Przyjeżdżają do kraju różni prywatni ludzie, z którymi można przecież dojść do porozumienia. Oczywiście straconą byłaby każda chwila rozmowy na ten temat z tak zwanymi politykami. Nie wydaje mi się również słuszne sprowadzenie do kraju „Przyjaciół Polski”. Ostatnio bawiła w stolicy francuska wycieczka adwokatów, buralistów i nauczycieli z prowincji. Sam fakt, że ktoś jest Francuzem, jest to oczywiście dużo jak na nasze stosunki, ale nawet ta okoliczność nie wystarczy do okazywania entuzjazmu. Myślę, iż pożyteczniej byłoby sprowadzić towarzystwo „Nieprzyjaciół Polski”. Zaczynać bowiem trzeba, iż ostateczni nasi przyjaciele znacznie mniej się nami interesują od

tak zwanych wrogów. Ba, nawet przy każdej okazji mieszają nas z Łotwą a Łotwę z Litwą, a wszystkich razem z Czechami. I cóż to wogóle za facha i sytuacja życiowa taki przyjaciel Polski? Był czas, kiedy Amerykanie przyjeżdżali do nas, przywozili mleko dla dzieci, makę i słoninę, zakładali schroniska, kąpiele i czytelnie. To są pewne dowody zainteresowania i przyjaźni. Ale przejechać poto, aby zjeść lody i wystućać przemówienia a potem opowiadać całe życie u siebie w Garonne lub Quimper, że się było czczonym w Warszawie jak felysz przez barbarzyńskich Polaków, to ostatecznie nie stanowi jeszcze o przyjaźni. Oczywiście byłby sens przywieźć stadko upartych Francuzów do Polski — ale właśnie tych Francuzów, co to się uśmiechają, gdy się mówi o tem, że Warszawa nie leży w Rosji i oświadczają się (chcąc nam zrobić przyjemność) z gorącą sympatią do cara. Można by zważyć podstępnie paru takich burżuazjów francuskich — pokazać im, że nie nosimy koszników i nie jeździmy na białych niedźwiedziach a potem wysłać ich w zapłombowanym wagonie do Rosji. Można by, ale też nie warto. Najlepiej byłoby tak zwane zbliżenie intelektualne odwiec jeszcze na parę lat. Można się wymawiać narazie, chorobą lub praniem i zaprosić gości wtedy, gdy już będzie jakiś taki porządek. Rząd powinien na takie przyjęcie posprawić obywatelom nowe ubranko, kupić paręset wagonów szminki i ucharakteryzować robotniczą ludność na różowych uśmiechniętych faceciach. Pozostawiać deskami wszystkie nieprzyjemne dziury i rudery, otoczyć parkanem niektóre dzielnice i rozpylić w większych miastach przy pomocy pomp gazowych paręset litrów wody kolonijalnej firmy „Brocard et Cie”. Żydów przy pomocy paru wagonów kolorowego perkalu można by udrapować we wschodnie burnusy a parę najprzykrzejszych fizjonumy odesłać na tydzień na wieś do cioci. Wtedy to można będzie sprowadzić różne wycieczki: „Przyjaciół krokietu z Newcastle”, „Towarzystwo zwolenników majonezu z Nantes” i innych grzeszników cudzoziemców bez obawy kompromitacji i dysonansu. A różnym wścibskim Duhałom poprostu nie dawać wsty. Istnieje bowiem niestety coraz więcej takich nieaktownych osobistości, które nie chcą zadławić się bigosem i przepalanką oraz najzupełniej francuską kuchnią w hotelu Europejskim. Wytłkają one nos tam, gdzie niepotrzeba i ośmielają się mówić i pisać o wężniach politycznych. Panowie ci nie interesują się kulturalnymi i dobrze wychowanymi prezesami kółek i towarzystw, nie imponuje im akcent francuski hrabiny Wyprzyłkiej, ale podają się za braci i towarzyszy brudnych, niegrzecznych robotników. I pomyśleć, że to robią ludzie należący do tak eleganckiej nacji jak francuska. Jeśli się nam uda kraj doprowadzić do porządku i ucharakteryzować na przyzwito salon towarzyski, można ich nawet będzie zaprosić, — marzyć i idealista to miła ozdoba eleganckiego salonu. Ale narazie trzymać ich zdaleka. Gotowi bowiem ci niespokojni ludzie z różnych krajów zejść się, porozumieć, nie zgodzić na fabrykowanie gazów, hodowanie bakterji, budowanie łodzi podwodnych, odlewanie armat i wszystkie inne czynności tak nam potrzebne do pogońnego, beztroskiego i eleganckiego życia towarzyskiego Europy.

Antoni Słonimski.

Camera Obscura

KNOT DZIENNIKARSKI

Chwila z dn. 30 sierpnia r. b. w artykule pod tytułem „Sensacje zapadłej prowincji” donosi:

„...Dwie kopce lampy elektryczne oświecały...” i t. d.

Wiemy, o jakich to elektrycznych lampach mowa. Oczywiście chodzi tu o „Osmarówki”. Wiemy wszyscy, jak nieładnie zachowują się te lampy, znana jest rzecza, że czuć je fatalnie. Teraz, kopca! Błąd polega podobno na tem, że mają zbyt duże knoty i nafta ukryta w izolatorze, jest stara i fałszowana, możliwe również, iż tak zwane „brenery” są zardzewiałe. W każdym razie należy to zbadać.

BOKS POPULI

Jeden z ostatnich numerów Gazety Porannej umieszcza list Zbyszko Cyganiewicza, w którym ten atleta radzi, aby młodzież zajmowała się boksem:

„bo być może, że wkrótce jakiś nowy gienjusz w rodzaju Stanleya Kotschela zadziwi świat...”

Kronika żydowska

„Literarische Bletter” notują wprowadzenie przez „Wiad. Lit.” kroniki żydowskiej, „w której się ukazują notatki o „polonicach” w literaturze żydowskiej”.

*

Komitet żydowskiego teatru społecznego, który ma powstać w Warszawie, wymienia w swym planie repertuarowym, przedłożonym w memorjale do Rady Miejskiej, między innymi utwory Wyspiańskiego, Rydla, Szaniawskiego.

*

W dalszych odpowiedziach na ankietę „Liter. Bletter”. „Komu przyznać nagrodę Nobla w r. 1927”, znajdujemy gło-

KINO

Co nakręcają w Polsce?

Wytwórczość polska, rachityczna zazwyczaj, zaczyna nabierać rumieńców. Znaczne ożywienie na filmowym rynku przemysłowym u nas nie pozostało bez wpływu na spotęgowanie zainteresowań zagranicy naszym krajem. Realizują więc obecnie: p. Ordynski — „Mogile nieznanego żołnierza” p. g. znanej powieści Andrzeja Struga, z Malicka, Gorczyńskiej, Pandkiewiczowa, Leszczyńskim i Walterem w rolach głównych. Niestrudzony p. Al. Hertz nakręca wielkie dzieło Reymonta — „Ziemie obiecane” ze Smarską, Modzelewską, Gorczyńską, Junoszą-Stepowskim, Solskim i Gawlikowskim. Młody, rokujący świetne nadzieje reżyser, p. Star, pracuje nad „Przeznaczeniem”, filmem, który specjalnie zainteresuje naszą publiczność ze względu na rozgrywający się w nim romans dziecięcy, z dwiema malenkimi gwiazdami, Bianką Dodo (uczennicą Ritv Sacchetto) i Musią Dajchówną na czele, oraz z pp. Kamińską, Gronnicką, Maszyńską i Symem (bratem rodzonym naszego I-go Syma). Henryk Laro zaprodukuje wkrótce już „Zew morza” p. g. scenariusza St. Kiedrzyńskiego z czarowną Malicką i nowodokrytym przez siebie Zawadzkiem w rolach głównych. Wreszcie Leon Trystan szykuje się, co sił, do zdjęć „Dusz w niewoli” Prusa, których autoryzacje otrzymał od p. Głowackiej, zony znakomitego pisarza. Obsada tego filmu zostanie dokonana w sposób ogromnie ciekawy, gdyż drogą konkursu na Wystawie Foto-Kinematograficznej. Otwierają się więc nielada możliwości przed wszystkimi (a przedewszystkiem: wszystkimi), marzącymi o karierze filmowej.

Należy zwrócić specjalną uwagę na filmy, nakręcone z udziałem zagranicznych sił technicznych i artystycznych. Do takch należy „Huragan”, realizowany przez Polaka p. Lejbesa, przy pomocy doskonałych sił operatorskich i poważnych kapitałów wiedeńskich, p. g. scenariusza Jerzego Brauna, redaktora „Gazety Literackiej”. Podobnie ma dokonać szeregu zdjęć z życia Chooina w Polsce słynny reżyser francuski, Roussel, który ma zamiar zrealizować film „Chopin”, zaprojektowany przez S. Romina.

Z pośród planowanych dopiero prac należy wymienić film p. Biegańskiego oraz p. Bigosza, który zakupił ostatnio wielką wytwórnię poznkańską „Diana” i zamierza realizować film p. g. powieści Jalu Kurka.

Posiew filmowy, jak z tego widać, jest wyjątkowo bogaty. Miejsmy nadzieję, że niemniej bogate będzie żniwo.

ast.

Czasopismo palestyńskie o „Wieży Babel”

W nr. 44 czasopisma palestyńskiego „Ktuwim” drukuje Ch. Neszer dłuższy artykuł p. t.: „Życie teatru polskiego”. Po retrospektywnej ocenie działalności Teatru im. Bogusławskiego i scharakteryzowaniu L. Schillera, jako pioniera nowoczesnego teatru polskiego, omawia autor jego pracę reżyserską w Teatrze Polskim. Zatrzymując się szczegółowo nad „Wieżą Babel” Słonimskiego, podkreśla jej wartości teatralne i poetyckie przyczem wyraża uznanie dyr. A. Szyfmanowi i reż. Schillerowi za tak godne wyposażenie scenicznej otworu „jednego z najzdolniejszych poetów wśród najmłodszego pokolenia literackiego w Polsce”.

Korespondencja

W SPRAWIE ZOFJI STRYJEŃSKIEJ.

Do redaktora „Wiadomości Literackich”

Wobec pojawienia się w jednym z pism krakowskich wiadomości o „wywiezieniu przemocą” znakomitej malarki p. Zofji Stryjeńskiej „do zamkniętego sanatorium” — niżej podpisani, przebywający w Zakopanem, protestują przeciw fałszywemu i krzywdzącemu przedstawieniu wypadku.

Pani Zofja Stryjeńska, od dłuższego czasu chora nerwowo, wyjechała na polecenie i pod opieką lekarza do lecznicy dla chorych nerwowo w Batowicach, gdzie znajduje się na kuracji.

Podpisani wyrażają głębokie ubolewanie z powodu wyszukiwania w celach sensacji nieszczęścia, które powinno być otoczone współczuciem i czcią.

Kazimierz Brzozowski, Piotr Chojnowski, Janusz Domaniewski, Ferdynand Goełt, Władysław Jarocki, Kornel Makuszyński, Rafał Malczewski, Stefan Meyer, Kazimierz Mochnacki, Adolf Nowaczyński, Stanisław Sobczak, Mieczysław Szerer, Karol Szymanowski, Kazimierz Wierzyński.

Zakopane, wrzesień 1927 r.

BŁĄD.

Do redaktora „Wiadomości Literackich”.

Proszę o sprostowanie błędu, jaki się wkraśl do mojej recenzji o książce p. Irenusza Plater-Zyberka „Tajemnica stanu”, zamieszczonej w Nr. 35 (191) „Wiadomości Literackich”. Zamiast: „brudnego opisu sprawy Bispinga”, winno być: „barwnego opisu sprawy Bispinga”.

hr.

A negoty

Pewien malarz upił się w restauracji, rozebrał się, wszedł do basenu z rybami i zaczął pływać. Właściciel wezwał posterunkowego. Ten uświłwał skłonić malarza do opuszczenia basenu.

— Nie ma pan tu nic do gadania, — brzmiała odpowiedź, — proszę sprowadzić policję rzeczną.

W czasie pobytu Firmina Gémier w Berlinie wydano na jego cześć bankiet. Zdarzyło się tak, że bankiet ten przypadł w dniu żydowskiego „święta pojednania”. W bankiecie brał udział także książę Joachim Albrecht, który siedział obok pociąg Hahna. Przez salę przechodził zamysłony Toller. Hahn zwraca się doń uśmiechniętym.

— Toller, siadaj!
Na to Toller:
— Nie siadam do stołu z Hohenzollernami.

— Ależ Toller, — woła Hahn, — dzisiaj jest przecież święto pojednania!

Anatol France nie lubił Romain Rollanda. Powiedział kiedyś o nim: „Rolland umie tylko wygłaszać kazania; gniedzi się w nim dusza pastora protestanckiego z małego miasteczka niemieckiego, który żyje między Biblią a pianinem obok brzydkiej i wiernej zony...”

Kiedy Wilde leżał na łożu śmierci usłyszał rozmowę lekarzy: „Z honorarium musimy tu zrezygnować”. Wówczas odezwał się:
— Wybaczcie, panowie. Wiem doskonale, że umieram ponad stan.

Do wydawcy popularnej edycji dzieł Dickensa po polsku nadszedł niedawno list zaadresowany: „Wielmożny Pan Karol Dickens”. Podobnie przed kilkoma laty znana wytwórnia filmowa w Hollywood zwróciła się telegraficznie „Do Karola Dickensa w Londynie” z prośbą o pozwolenie na sfilmowanie jednej z jego powieści.

W katalogu pewnego antykwariatu paryskiego znajdujemy następujący wyjątek z listu Piotra Loti, pisarza-podróżnika: „Jeszcze jedno słowo w sprawie mego berlińskiego artykułu. Czy to prawda, że Kolonia leży nad Renem? Bądź tak dobry i potwierdź mi to, gdyż nie chciałem publicznie manifestować mojej straszliwej ignorancji w rzeczach geografii...”

Największa hurtownia księgarska
W POLSCE

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Sp. Akc.

WARSZAWA, Plac Trzech Krzyży 8

Przyjmuje na skład główny wszelkie
wydawnictwa polskie księgarskie, rzą-
dowe i prywatne i rozsyła je w komis
do księgarzy w całej Polsce.

WYDAJE PISMO REKLAMOWE

KURJER KSIĘGARSKI

PRENUMERATA z przesyłką zł. 9.— kwartalnie, zagranią 2 dol. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm. szerokości 1 szpalty 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście. Kolumna posiada 6 szpalt.

Odbito w drukarni „Rola” J. Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11
Klisze cynkografii „W. Głowczewski”, Chmielna 18

REDAKCJA: Złota nr. 8 m. 5. tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Boduena 1, m. 2, tel. 223-64, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—18, w sobotę od godz. 9—13. Konto pocztowe nr. 8515.

Redaktor: MIECZYSLAW GRYZDEWSKI
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYZDEWSKI